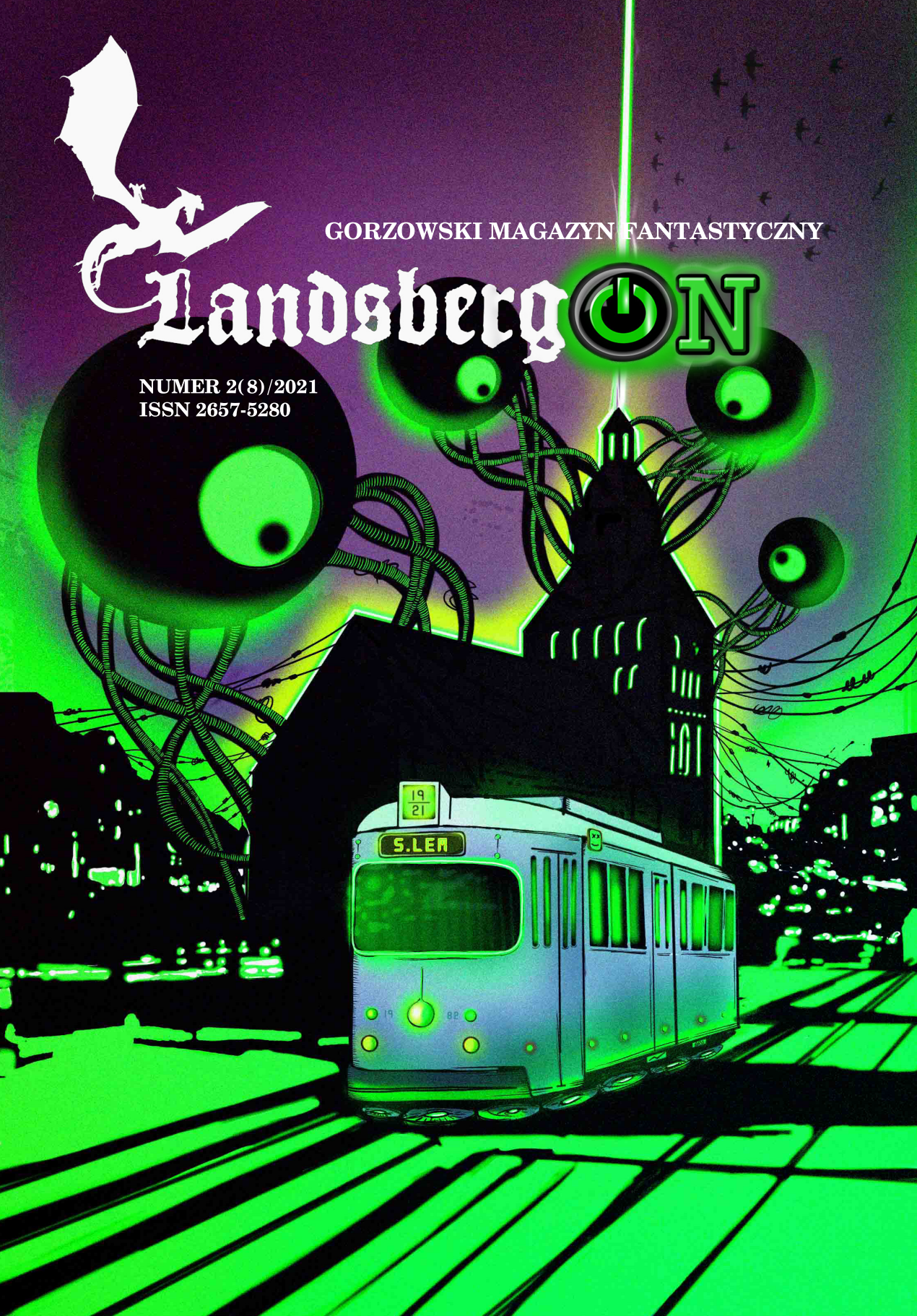


GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY

Landsberg ON

NUMER 2(8)/2021
ISSN 2657-5280



Wstępniak

LandsbergON to wy!

Obecnie w zalewie tandety tonąc muszą publikacje cenne, ponieważ łatwiej jest odnaleźć książkę wartościową wśród dziesięciu kiepskich aniżeli ich tysiąc w milionie.
(Stanisław Lem, „Głos Pana”)

Najnowszy numer *LandsbergONu*, który trzymają Państwo w rękach, poświęcony jest pamięci Stanisława Lema. Sto lat temu, we Lwowie, przyszedł na świat największy polski twórca science-fiction. Oficjalnie jego książki zostały przetłumaczone na ponad 40 języków, w łącznym nakładzie ponad 30 milionów egzemplarzy. Twórczość Lema, mimo że zamyka się ją w szufladce z napisem „science-fiction”, jest niestęchanie różnorodna. Od fantastycznych bajek, które z powodzeniem mogą trafić do młodszego i starszego czytelnika, jak „Bajki robotów” i „Cyberiada”, przez zabawne i groteskowe utwory typu „Being Inc.” lub „Kongres futurologiczny”, hard science-fiction, typu „Niezwyciężony” i „Solaris”, na poły kryminalne „Katar” i „Śledztwo”, naukowa futurologiczna eseistyka, jak w „Summa technologiae”, aż po recenzje i wstępy do nieistniejących książek albo realistyczne, w dużej mierze autobiograficzne dzieła, np. „Szpital przemienienia” czy „Wysoki Zamek”.

U Lema każdy znajdzie coś dla siebie, a mimo to wielu, w szczególności młodych, chętniej sięga dziś po zagranicznych autorów fantastyki, przy czym twórczość naszego rodaka jest im w zasadzie obca. Mamy nadzieję, że ten numer naszego czasopisma zachęci tych z Was, którzy do tej pory unikali twórczości Lema, do

sięgnięcia po liczne książki i zbiory opowiadań sygnowane jego nazwiskiem. Utwory i grafiki, które znajdziecie w tym numerze, są tak samo różnorodne jak twórczość Stanisława Lema.

Do każdego utworu pozwoliłem sobie zaś dodać Lemowski cytat, aby pokazać, że nawet znane raczej z fantazy smoki także nie były mu obce. Jako Lemowski fanatyk życzę Państwu przyjemności z lektury tego numeru.

Mariusz Sobkowiak
Redaktor Naczelny

P.S. Nie jest łatwo wydawać niszowe, nienastawione na zysk wydawnictwo kulturalne, zajmujące się wyłącznie fantastyką. Trzykrotnie zmienialiśmy drukarnie z powodu co roku malejącej dotacji i zwiększających się kosztów druku. Prosiłiśmy również dwie miejskie instytucje kultury o wsparcie wydawania naszego magazynu, ale bezskutecznie. Tym razem jednak nie będzie „typowego narzekania naczelnego” – choć ciśnię się na usta bitewne zawołanie „awruk!” z twórczości Lema – a będzie radość i podziękowania, gdyż na szczęście jesteście Wy, sami mieszkańcy Gorzowa, nasi czytelnicy. Od początku roku prowadziliśmy akcję, w której zachęcaliśmy do przekazywania 1% podatku PIT, z czego przychód miał zostać przekazany na wydawanie

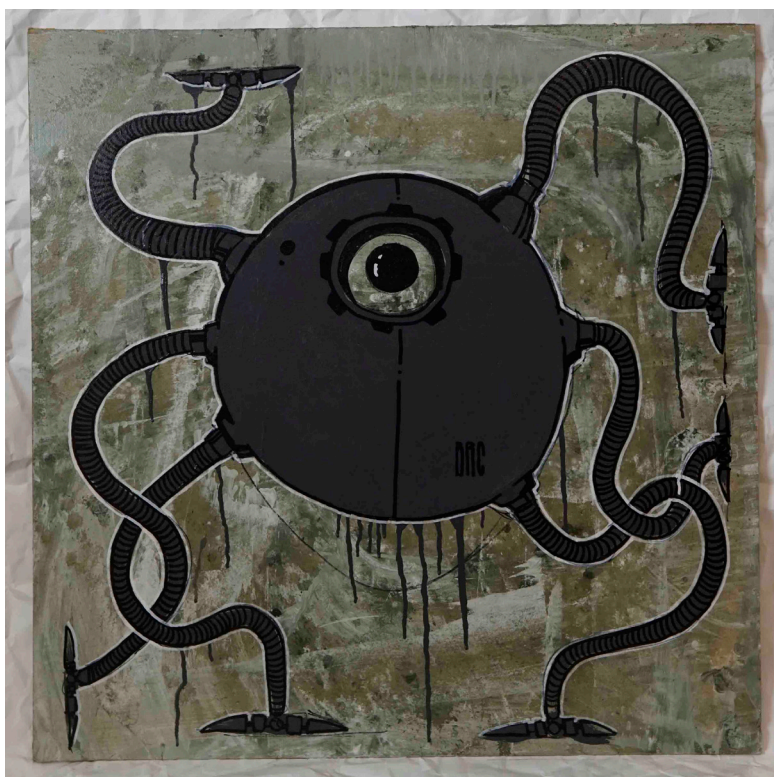
LandsbergONu. Gorzowianie nie zawiedli. W ramach 1% otrzymaliśmy 367,80 zł, które w całości przeznaczone zostały na wkład własny w wydawanie magazynu, a więc: skład, druk i kolportaż. Za powstanie tego numeru dziękujemy więc następującym osobom (które w rozliczeniu podatkowym wyraziły zgodę na przekazanie nam swoich danych): **Katarzyna Miczał, Marta Kowalska, Maciej Kuczyński, Andrii Bohovyk, Jolanta Drubkowska, Henryk Drubkowski, Katarzyna Najmowicz, Krzysztof Stawicki, Kamil Kwiatkowski, Mariusz Sobkowiak**. Do Waszych rąk, drogą pocztową, trafi najnowszy numer wraz z podziękowaniami od redakcji. Dzięki tym „dziesięciu wspaniątym” nadal istniejemy.

Bez zawahania mogę napisać, że *LandsbergON* to Wy, i mam nadzieję, że nie zawiedziecie się na nas i nadal będziemy mogli na siebie liczyć.

Autor grafiki na okładce:

Łukasz Karnacz

Absolwent gorzowskiego „Plastyka” i koszalińskiej Politechniki, wydział wzornictwo przemysłowe. Właściciel firmy projektowo-reklamowej BRC Design. Od początku swojej działalności artystycznej ściśle związany z Gorzowem Wlkp. Działa na wielu polach artystycznych, od rysunku odręcznego poprzez grafiki komputerowe, ale jego serce bije najmocniej dla *street artu*. Współtwórca kilku gorzowskich murali, m.in. „Nosorożca Stefanii”, serii murali na podstawie rysunków Romana Picińskiego na Zawarcu oraz obrazu „Części Krzyża” Wiktora Czyżewskiego. Chętnie wspiera akcje charytatywne i uczestniczy w życiu miasta, ściśle współpracując z Wydziałem Promocji i Informacji. Jak sam mówi: „Chciałbym, żeby Gorzów był po prostu piękniejszy”.



Autor ilustracji: Łukasz Karnacz

W obliczeniach był błęd.
(Stanisław Lem, „Eden”)

Niekiedy w samej rzeczy cała moja perfidia w tym, żeby pisać poważnie, udając, że robię żarty. Żart jest „wariackimi papierami”, przepustką ulgową.
(List Lema do M. Kandla, 5 kwietnia 1974)

Powietrze aż drgało od ciepła wytwarzanego przez PESEL (Pierwszy Elektroniczny System Ewaluacji Ludności) – superszybki megakomputer umieszczony w tajnym obiekcie badawczym pod dawnym Urzędem Miasta przy ulicy Sikorskiego, do którego nikt nie miał dostępu oprócz kilkorga najznamienitszych umysłów, wybranych po to, by rządzić w procesie ewaluacyjnym – serii skomplikowanych algorytmów, nadprogramów, analiz DNA i innych mechanizmów, które dla zwykłego człowieka były nie do ogarnięcia, z drugiej jednak strony zwykli ludzie nie musieli zaprzętać sobie tym głowy, żyjąc swoją codziennością, wykonując przydzielone zadania użytkowe, aby Ogół mógł się rozwijać.

Maszyna była nieomylna. Grupowała bez stronniczości, bez uczuć, bez ludzkich przypadłości serca i ułomności rozumu, niestrudzenie, dzień i noc. Jej jedyne zadanie – przydzielać ludziom zadania według ilorazu inteligencji. Najmądrzejsi mieli rządzić. Mniej mądrzy – wykonywać najpotrzebniejsze, mało skomplikowane zadania, przysługujące się Ogółowi. Jednostki niespełniające minimum były usuwane poza margines.

System działał bez zarzutu. Do czasu. W ultratajnym podziemnym kompleksie pojawił się szczur. I tak jak maszyna była obojętna na ludzkie życie, tak gryzoń był obojętny na wszelkie zabezpieczenia,

pułapki, holokamery i patrolujące korytarze cyberkoty. Niepostrzeżenie przedarł się do pomieszczenia z generatorem i – jak szczury mają od zarania ludzkości w zwyczaju – zaczął przegryzać kable.

To był moment, chwila, ulotna sekunda. Zwarcie, trzask, błysk.

Spadek napięcia nieomal niezauważalny, pomimo wszystkich zabezpieczeń i systemów kontrolnych.

Szczur nie mógł tego wiedzieć, leżąc bez ducha na zimnej posadzce, ale jego czyn wywołał lawinę wydarzeń, które miały zmienić oblicze ludzkości.

– Janusz Kowalski? – powtórzył z pewną dozą niedowierzania zmieszana z niechęcią nadmistrz Katedry Myśli Wszelakiej Zygfryd Nowoboski, postawny mężczyzna o długich, siwych włosach i takiejż brodzie.

Patrzył zza okularów w cienkiej oprawie na Zygmunta Popieralskiego, nadszeffa Komisji ds. Komunikacji z PESEL-em.

– Nie ma mowy o pomyłce, nadmistrzu – odparł niższy mężczyzna, poprawiając obszerną i bogato zdobioną togę. W nerwach pociągnął za świeżo przyciętą, bujną brodę i zerknął tęsknie w stronę drzwi.

– Ależ to takie pospolite imię! – odchrząknął Zygfryd. Zamyślił się, a jego oblicze przybrało marsowy wygląd. Po chwili podjął: – Czy PESEL kiedykolwiek się pomylił?

Zygmunt wciągnął powietrze z wżgiem, oburzony taką bałwochwalczością nadmistrza. Ten, widząc to, machnął szybko ręką i się poprawił:

– Nie, oczywiście, że się nie myli. Jak mogliśmy go więc przeoczyć? – zmienił bieg myśli. Pytanie nie było konkretnie

skierowane do nadszefa.

- Tyłu ludzi do przeanalizowania, tyle zmiennych... - wymruczał tylko pod nosem Zygmunt.

- Jaki jest jego wynik Przydatności? - zapytał Zygfryd, obracając się do okna, by wyjrzeć na miasto w dole.

Zygmunt odetchnął z nieskrywaną ulgą, kiedy świdrujące spojrzenie nadmistrza przestało go nękać, i również spojrzął na krajobraz znajdujący się poniżej. Sto dwudzieste piętro Wydziału Sprawowania Władzy i tak nie było najwyższe. Kolejne kondygnacje były przeznaczane dla bardziej wybitnych jednostek. System był nieomylny.

Zygfryd popadł w zadumę.

Ludzkość tryumfowała.

Podniosła się po wojnie, po zagładzie ekologicznej i najeździe Obcych (w czasie, gdy Obcy odebrali wiadomość z Arcibo, biorąc ją za akt agresji, i przylecieli na Ziemię, ludzkość znajdowała się już na poziomie technologicznego rozwoju, który umożliwił pokonanie najeźdźców w niecały tydzień. Artefakt znaleziony wówczas wśród powojennych szczątków pomógł zbudować i zaprogramować PESEL, co pchnęło ludzkość w nową, świetlaną przyszłość).

Wszystko zaczęło układać się idealnie, a mieszkańcy Ziemi stali się najszybciej rozwijającą się młodą cywilizacją we Wszechświecie.

Przez chwilę, prócz miarowego tykania zabytkowego zegara firmy IKEA, w pomieszczeniu było cicho.

Po przeciągającym się milczeniu Zygmunt w końcu powiedział:

- Nadmistrzu... - zaczął, lecz głos uwiązł mu w gardle, ni to ze strachu, ni z podniecenia. - PESEL zakwalifikował go na poziomie Przydatności 9.3!

Skulił się w sobie, czekając na wybuch, lecz Zygfryd tylko obrócił się od okna i usiadł w swoim bogato zdobionym fotelu, niegdyś ponoć należącym do króla.

- 9.3... - powtórzył szeptem

nadmistrz. - Niespotykane! To więcej niż Ponadhierarcha! Toż to wręcz, ośmielę się użyć słowa, którego przestaliśmy używać ze względu na implikacje religijne sprzed wojny, cud!

Zygmunt aż wzdrygnął się na to słowo, lecz entuzjazm nadmistrza zaczął mu się udzielać, więc przytaknął energicznie głową.

- Gdzie jest teraz?

- Czeka na zewnątrz - ożywił się nadszef.

Na te słowa Zygfryd ściągnął groźnie brwi.

- Pozwoliłeś takiej wybitnej jednostce czekać za moimi drzwiami jak jakimś zwyktemu patrycjuszowi?

Zygmunt skoczył ku drzwiom jak rażony gromem.

- T-tak-k, ocz-cz-czywiście - jękał się i kłaniał. Otworzył ogromne dębowe drzwi, wystawił głowę na korytarz, a po chwili w pomieszczeniu stanął człowiek, z wyglądu zaprzeczając poziomowi Przydatności. Dość niski, z małą, tysięcącą głową, o opalanej skórze, rozbieganym spojrzeniu, z dziwnymi rumieńcami na policzkach i nosie.

„No tak” - pomyślał nadmistrz. - „Geniusz analizujący otoczenie”.

Nowoprzybyty rozejrzał się pobieżnie po pokoju, włożył ręce w kieszenie nieustandaryzowanych przez Urząd ds. Ubioru spodni, zagwizdał przeciągle, niby z podziwem.

- Późne porokoko - rzekł, ukazując przy tym dość żółte i zaniedbane zęby. - No, ładnieście się tu urządzili, pany mózgi. - Spojrzął na nadmistrza.

- Witamy serdecznie, szanowna dostojność. - Ukłonił się Zygfryd, a widząc to nadszef poszedł w jego ślady.

- No to ten, gdzie mam klapnąć?

Nadmistrz wymienił z Zygmuntem zakłopotane spojrzenia.

- Nie, nie. Pan tu nie należy. Nie na tym piętrze, w sensie - poprawił się szybko Zygfryd, widząc rosnącą niechęć

gościa. – Na tym piętrze znajdują się tylko ludzie o poziomie Przydatności do 9.0. Zaraz zaprowadzę pana do Katedry Najwyższego Zarządzania.

– Tia? A co tam będę robił?

– Wraz z innymi najznamienniejszymi umysłami Ziemi będzie pan decydować, co leży w najlepszym interesie populacji globu.

– A, taka sytuacja... – odparł, nie bardzo rozumiejąc Janusz. – No dobra, prowadź pan.

Kronikarze zachodzili potem w głowę i wymyślali kolejne hipotezy co do tego, jak tak zaawansowana cywilizacja, przewyższająca inne inteligentne formy życia we Wszechświecie, mogła upaść. Prawdziwy powód nigdy nie został odkryty.

Paweł Karolczuk

Rocznik 1983, urodzony w Jeleniej Górze, wychowany we Wrocławiu, od ponad 10 lat mieszkający wraz z rodziną w Gorzowie Wielkopolskim. Nauczyciel w jednym z gorzowskich liceów. Z szeroko pojętą fantastyką styczność ma od najmłodszych lat, pisać zaczął jeszcze w szkole średniej. Prowadzi Klub Fantastyczny w miejscu zatrudnienia, gdzie zachęca młodzież do odkrywania fascynującego świata planszówek, gier bitewnych i fabularnych.



Nauka nie zajmuje się takimi własnościami bytu, do których należy śmieszność. Nauka objaśnia świat, ale pogodzić się z nim może jedynie sztuka.

(Stanisław Lem, „Bajki robotów”)



Jacek Lauda

(ur. 1964 r.), pisarz, satyryk, artysta malarz, rysownik. W Gorzowie mieszka od 1987 r. Debiutował w 1994 r. humoreskami z własnymi ilustracjami na łamach „Arsenału Gorzowskiego”. W swoim dorobku literackim ma dwie książki będące zbiorem humoresek i krótkich opowiadań: „Drabina, czyli wyjście nieprawomyślne” (2003) oraz „Eskimos w operze – opowiadania na chór, orkiestrę i kanarkę” (2013). Jego humoreski publikowane były w piśmie literacko-artystycznym „Prom/DieFähre”, w „Pegazie Lubuskim”, „Gazecie Lubuskiej”, „Nowym Wieku”, „Grizzly”, a także prezentowane na antenie Radia

Zachód. Uprawia malarstwo sztalugowe, głównie o tematyce fantastycznej, w technikach: olejnej, akrylowej, akwarelowej. Rysuje ołówkiem, pastelami, kredkami, piórkami. Miał kilka wystaw autorskich: w Klubie Myśli Twórczej „Lamus”; galerii Punkty Widzenia Akademii im. Jakuba z Paradyża; w Klubie „Jedynka”, a w 2018 r. w galerii Pod Kopułą WiMBP im. Zbigniewa Herberta. Jest pracownikiem Działu Nauki i Wydawnictw Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wlkp. oraz koordynatorem ds. artystycznych działającej przy uczelni galerii Punkty Widzenia.

Prze [w/m] ijanie

*Marzenia zawsze zwyciężają
rzeczywistość, gdy im na to pozwolą.
(Stanisław Lem, „Kongres futurologiczny”)*

*Wprowadzając odpowiednio
syntetyzowane maskony do mózgu,
można zasłonić dowolny obiekt świata
zewnątrznego obrazami fikcyjnymi tak
sprawnie, że osobnik zachemaskowany
nie wie, co jest w postrzeganym
realne – a co utudne. Gdybyś pan przez
jedno mgnienie zobaczył świat, jaki
nas na p r a w d ę otacza – a nie ten
uszminowany chemaskowaniem
– zdrętwiałbyś pan!
(Stanisław Lem, „Kongres futurologiczny”)*

Zagłada nie zaczęła się w czasie wojny.
Nie przynieśli jej ani komuniści, ani in-
wazja kosmitów. Zagłada przyszła razem
z wolnością...

Zapach słonecznego wrześniowe-
go popołudnia i liście w tysiącu barw
dawały złudne poczucie, że wszystko
jest w porządku. Adam szedł przez park
Siemiradzkiego, pogwizdując. Krokom
wtórowało rytmiczne popiskiwanie ka-
sety w walkmanie. Dobrze znana ścież-
ka prowadziła do punktu widokowego
na szczycie Schodów Donikąd. Adam
powiódł wzrokiem po tym, co niegdyś
było jego ulubioną panoramą Gorzowa,
i dreszcz przeszedł mu po plecach.

– Nieczęsto ktoś tu przychodzi. – Głos
dobięął spod akacji rosnących na zboczu
obok platformy widokowej. Adamowi
przyglądał się nieznajomy z książką na ko-
lanach. Książka... Kto teraz czyta książki?
Ale też kto słucha kaset?

– Zawsze lubiłem to miejsce.

– Nie ty jeden. Ale czasy się zmieniły.
– Co tu się właściwie stało? – Obaj po-
wędrowali wzrokiem po ruinach miasta.

– Długo by opowiadać.

– Mam czas. Nie było mnie kilka lat,
chętnie posłucham.

– W takim razie... – Nieznajomy od-
chrząknął i zaczął opowiadać. – Wszystko
zaczęło się w 760. urodziny miasta, kiedy
w czasie Dni Gorzowa na wieży katedry
pojawił się ogień. Akcja gaśnicza trwała
kilka dni. Gdy strażacy wreszcie odjecha-
li i skończyły się relacje telewizyjne na
żywo, ciągle wstrząśnięci Gorzowianie
z zapałem zabrali się za usuwanie skut-
ków katastrofy. Ale z czasem entuzjazm
stygnął, wydatki rosły, a zbiórki pieniędzy
na remont z miesiąca na miesiąc przy-
nosiły mniejsze kwoty. Po pięciu latach
ruch na niebosiężnych rusztowaniach
zanikł całkowicie, a średniowieczne ce-
gły powoli same zaczęły układać wzór
u podnóża budowli.

– Ale przecież w telewizji pokazywali
katedrę po skończonym remoncie!

– Jeszcze wierzysz w to, co widzisz
w mediach? Rozejrzyj się. Centrum
Gorzowa to jedna wielka ruina.

– A przez most da się przejść?

– Nie. Mostu już nie ma. Ale jeśli
chcesz, pomogę ci przedostać się na drugi
brzeg. Mów mi Robert.

Robert zamknął książkę i wstał.
Mężczyźni ruszyli w stronę zagrodzone-
go dziurawym płótem wejścia na Schody
Donikąd. Choć samosiejki klonów co-
raz bardziej nadgryzały żelbet, schody
– na przekór opiniom rzeczoznawców
– ciągle stały.

Adam raz po raz z niedowierzaniem
spoglądał na miasto.

– Gdzie się podział wieżowiec
„Przemysłówki”?

– „Przemysłówka”, hmm, to też jest niezła historia. Widzisz, zapełnienie pu-
stego biurowca instytucjami kultury mia-
ło ożywić centrum. Systemowo zaczęto
zasiedlać kolejne piętra wieżowca. Jako
pierwsza na parterze znalazła swoje miej-
sce bezdomna po pożarze katedra. Miało
to być rozwiązanie tymczasowe, ale, jak
to bywa, zostało na dobre. Niedługo po-
tem na pierwszym piętrze pojawił się
MOS z salami wystawienniczymi. Na dru-
gie i trzecie piętro przywędrowało MCK
ze swoimi dwoma scenami. Teatr Osterwy
zajął piętro czwarte. Na wyższe kondy-
gnacje sprowadzono MDK i wszystkie
szkoły artystyczne. Poddasze zajął Jazz
Club, przenosząc się „na wyżyny” z kul-
towej niegdyś piwnicy. Nawet dach wy-
korzystano na eksmitowany z parku am-
fiteatr. Jediną instytucją, która ostała
się na swoim miejscu, była Filharmonia.
Niezbyt radzi ze zmian artyści nie mie-
li wyjścia i powoli zaczęli przywykać do
nowej rzeczywistości. Wtedy ruszyły
tramwaje. Historie pozornie bez związku.
A jednak... – Robert ciągnął swoją opo-
wieść. – Rewolucja tramwajowa trwać
miała dwa lata. Po zdającym się nie mieć
końca dziesięcioleciu oczekiwani pierw-
szy tramwaj z fasonem ruszył w pierwszy
poremontowy kurs. Niestety nowe tory
okazały się fuszerką. Rozpędzony wagon
wyskoczył z trasy i trafił prosto w kul-
turalną „Przemysłówkę”. Konstrukcja zosta-
ła naruszona do tego stopnia, że budynek
złożył się jak domek z kart. Nie było co
ratować. W międzyczasie wykonawca
torów zdążył ogłosić upadłość, ubezpie-
czyciele wymigali się od wypłaty, a miej-
skie fundusze przeznaczono na inne cele.
Pozostała więc kolejna ruina w sercu mia-
sta i unieruchomione tramwaje. Problem
był także z dokończeniem masowo roz-
poczętych remontów dróg. Przy boomie
budowlanym ceny poszybowały niebo-
tycznie w górę. Do tego, po rozkopaniu
głównego skrzyżowania, spod wierzchniej
warstwy asfaltu wyłoniła się historia.

Archeolodzy byli wniebowzięci, ale inwe-
stycje stanęły na dobre.

Robert przerwał opowieść, gdy do-
szli do Studni Czarownic. Wdrapał się na
kamienną cembrowinę i wyciągnął rękę
w kierunku głowicy jednej z trzech ko-
lumn podtrzymujących daszek, z którego
próbowała poderwać się do lotu niewiel-
ka postać na miotle. Pomiędzy kolumnami
pojawiało się przejście, a ze ścian wysu-
nęły się kamienne stopnie. Robert zaczął
schodzić w dół. Adam niepewnie ruszył
za nim. Gdy znaleźli się na samym dnie,
Robert wcisnął jedną z cegieł. Stopnie
ukryły się, a otworzyło się kolejne prze-
jście. Jedne po drugich zapalały się rzędy
świąteł, ukazując oczom wędrowców tu-
nel biegnący w kierunku rzeki.

Wchodź szybko, bo wejście zaraz
się zamknie.

W podziemnym korytarzu podjęli
przerwaną rozmowę.

– Robert, a co się stało z miesza-
kącami? Po drodze nie spotkaliśmy
żywej duszy.

– Zostali przeniesieni w inne
rejon miasta.

– I nikt nie protestował, że jednak
ginie historyczne centrum?

– Były takie próby, ale sztab socjolo-
gów, specjalistów od wizerunku, mediów
i wysokich technologii zrobił swoje. Ty
też myślałeś, że katedra ma się dobrze.
Stworzono prawie doskonałą hiperiluzję,
bo okazało się to tańszym rozwiązaniem
niż ciągłe remonty, utrzymywanie ziele-
ni, konserwacja zabytków i rewitalizacja.
Teraz domy mają wbudowane w okna
hologramy. Wszystkie nowe drogi bie-
gną w tunelach. Jadąc autem, nie widzisz
ich ścian, tylko ruchome obrazki z za-
dbanego, pięknego, ale nieprawdziwego
Gorzowa. A od spacerów po mieście lu-
dzi skutecznie odzwyczajono, kusząc al-
ternatywnymi atrakcjami we wnętrzach
galerii handlowych.

Doszli do drewnianych, mocno od-
rapanych drzwi. Robert wyjął z kieszeni

wielki, stary klucz z okrągłym uchem, który ze zgrzytem przekręcił w zamku. Wyszli prosto na fontannę. Adam znał ją dobrze. Dwóch cherubinków przepychało się na ozdobnej misie. Obejrzał się, ale zamiast willi Pauckscha zobaczył kupę gruzu, a w niej drzwi, przez które przed chwilą przeszli. Robert podchwycił jego spojrzenie.

- Tak, tu też sięgnęła zagłada. Po likwidacji Grodzkiego Domu Kultury budynek zaczął się sypać. Miasta nie stać było na generalny remont, a pomysły prywatnych inwestorów o protestowały mieszkańcy. Rezultat ciągłych kłótni i źle używanej wolności właśnie widzisz. Istna wieża Babel. No dobrze, tak jak obiecałem, doprowadziłem cię na Zawarcie. Tu się rozstaniemy. Tylko uważaj przy Dominancie.

- Ona nadal stoi?

- Nie dało się jej zburzyć. Mimo kolejno podejmowanych prób konstrukcji nawet nie zdrażnięto, a maszyny i narzędzia, z których korzystano, w niewyjaśniony sposób za każdym razem psuły się. Kiedy uruchomiono hiperiluzję, a centrum opustoszało, przy Dominancie pojawili się kosmici. Kula na jej szczycie otworzyła się jak skórka pomarańczy przy obieraniu. Zielonoskórzy przybysze urządzili tu sobie międzygalaktyczne centrum przekaźnikowe. - Robert podszedł do Adama i uściśnął mu rękę na pożegnanie. - Muszę już wracać. Powodzenia, cokolwiek masz tu do zrobienia.

Drzwi skrzypnęły i Adam został sam. Ponuro spoglądał na panoramę po przeciwnej stronie fosforyzującej Warty, pozbawioną najbardziej charakterystycznych elementów. Szczątki mostów leżały w wodzie, estakada rozsypała się, kamienice pogubiły resztki detali, a nad wszystkim sterczał smętny kikut resztek katedralnej wieży. Spichlerz stał na swoim miejscu i Adam ruszył w jego stronę. Nienadgryzione zębem czasu szachulcowe ściany na tle zrujnowanego miasta wyglądały nienaturalnie. Ogromne

stalowe koło zamachowe stojące na podwórku za budynkiem też wyglądało dokładnie tak, jak wtedy gdy był tu ostatnim razem. Rozejrzał się po bezludnej okolicy i usiadł na murku przy sfatygowanym stojaku na rowery w kształcie kasety magnetofonowej.

Anna dopijała resztkę kawy, szykując się do wyjścia. Za oknem promienie słońca bawiły się, odbijając zajączki od nowego, jeszcze niezaisniedziałego hełmu katedralnej wieży.

- Witaj, Anno, dokąd dzisiaj? - Automatyczny pilot jej wozu przywitał się grzecznie.

- Zawieź mnie do Spichlerza.

- Wokół Spichlerza trwają prace konserwatorskie, wjazd zabroniony - poinformował uprzejmie autopilot.

- W takim razie jedziemy do galerii handlowej tuż obok.

- Park Nova. Cel zatwierdzony. Wyznaczam trasę.

Wóz sam zajął się jazdą, więc pasażerka mogła ruszyć trasą własnych myśli. Lubiła przyglądać się odnowionym kamienicom z czasów Landsberga, ulicom wreszcie pozbawionym poszarpanych banerów i wielkich tablic reklamowych. Oczy cieszyła wypielęgnowana zieleń przyuliczna, zadbane skwery i parki, od niepamiętnych czasów będące chlubą miasta. Katedra z bliska prezentowała się doskonale.

Zaraz za Mostem Staromiejskim wóz skręcił w uliczkę między Dominantą a Spichlerzem. Przechadzało się tędy całkiem sporo ludzi. Auto zaparkowało sprawnie na zatłoczonym parkingu. Anna weszła do pasażu handlowego, by od razu skierować się do wyjścia. Ale z galerii wyjść się nie dało. Przy każdych drzwiach trafiała na niewidzialną barierę, która nie pozwalała się do nich zbliżyć. Wreszcie wbrew surowym zakazom

zdecydowała się wyjść z budynku bramą dla aut. Dziwne. Z ulicy nie można było nigdzie skręcić. Tak jakby droga znajdowała się... w tunelu? Coraz bardziej rozdrażniona Anna wróciła do centrum handlowego, myśląc intensywnie i rozglądając się na wszystkie strony. Pomiędzy okazałymi witrynami sklepów uchylity się niepozorne drzwi z napisem „tylko dla personelu”. Zobaczywszy sprzątaczkę, szarpiącą się z ogromnym wózkiem pełnym wiader i mopów sterczących na wszystkie strony, Anna wpadła na pomysł.

– Przytrzymam pani drzwi.

– Dziękuję, te wózki są takie nieporęczne. – Kobieta z westchnięciem poczłapała, pchając swój kram, a Anna wsunęła się do pomieszczenia, zanim drzwi zdążyły się zatrzasnąć. Intuicja jej nie myliła. Na końcu długiego, pustego korytarza znajdowało się wyjście ewakuacyjne. Podbiegła do niego i pchnęła drzwi z całą siłą. Nie zważając na ogłuszający ryk alarmu, uruchomionego przez zerwaną blokadę, wybiegła na dwór. Stała naprzeciwko Spichlerza. Udało się! Szerszy rzut oka w jednej chwili zmienił uczucie chwilowego triumfu w przerażenie.

– Nie wierzę! Jakim cudem tego nie zauważyłam?! – Zza rzeki spoglądały na nią pustymi oknami ruiny miasta. Nigdzie nie było tłumów, które widziała, jadąc chwilę temu do galerii. Z murku pod białym, szachulcowym budynkiem podniosła się samotna postać i ruszyła w jej stronę.

– Witaj, Anno!

– Miło cię widzieć, Adamie! Jak tym razem podobają ci się zmiany?

– Nie jestem zachwycony. Może jednak Rada miała rację, chcąc nieco ograniczyć im wolność?

– Trochę wiary w ludzi, Adamie! Dajmy im jeszcze jedną szansę. Ciągłe popełnianie kardynalne błędy, ale robią też postępy. Tym razem udało im się wywieźć w pole

nawet mnie. A hiperiluzja wyszła im całym udanie.

– Fakt, poprzednio gruzowisko zdążyło nawet zarosnąć chaszczami – uzupełnił Adam. – Ale zmiany jeszcze nie kwalifikują się do zatwierdzenia. Kolejny etap będą mogli rozpocząć, dopiero gdy dojdą do odpowiednio wysokiego poziomu rozwoju.

– Zdecydowanie się z tobą zgadzam, Mistrzu.

– W takim razie, Obserwatorze, przewijamy.

Podeszli do postumentu, na którym opierało się koło. Jednocześnie przyłożyli prawe dłonie do mosiężnej tabliczki z napisem „Wielkogabarytowy silnik parowy z kołem zamachowym”. Pod wpływem ich dotyku tabliczka zafalowała i zwinęła się w rulon. Postument rozsunął się na dwie części, odsłaniając panel sterowania o wyglądzie radiomagnetofonu „Kasprzak”. Adam nacisnął przycisk z symbolem dwóch trójkątów skierowanych w lewą stronę. Olbrzymie koło zaczęło się obracać. Podczas gdy nabierało prędkości, światło dnia traciło barwę, a otoczenie stawało się coraz bardziej rozmyte. Ostrość zachowały jedynie Spichlerz i Dominanta.

– Widzimy się jak zawsze. Tutaj, dziś, za 20 lat.

– Mam nadzieję, że tym razem wreszcie staną na wysokości zadania. Do zobaczenia, Adamie.

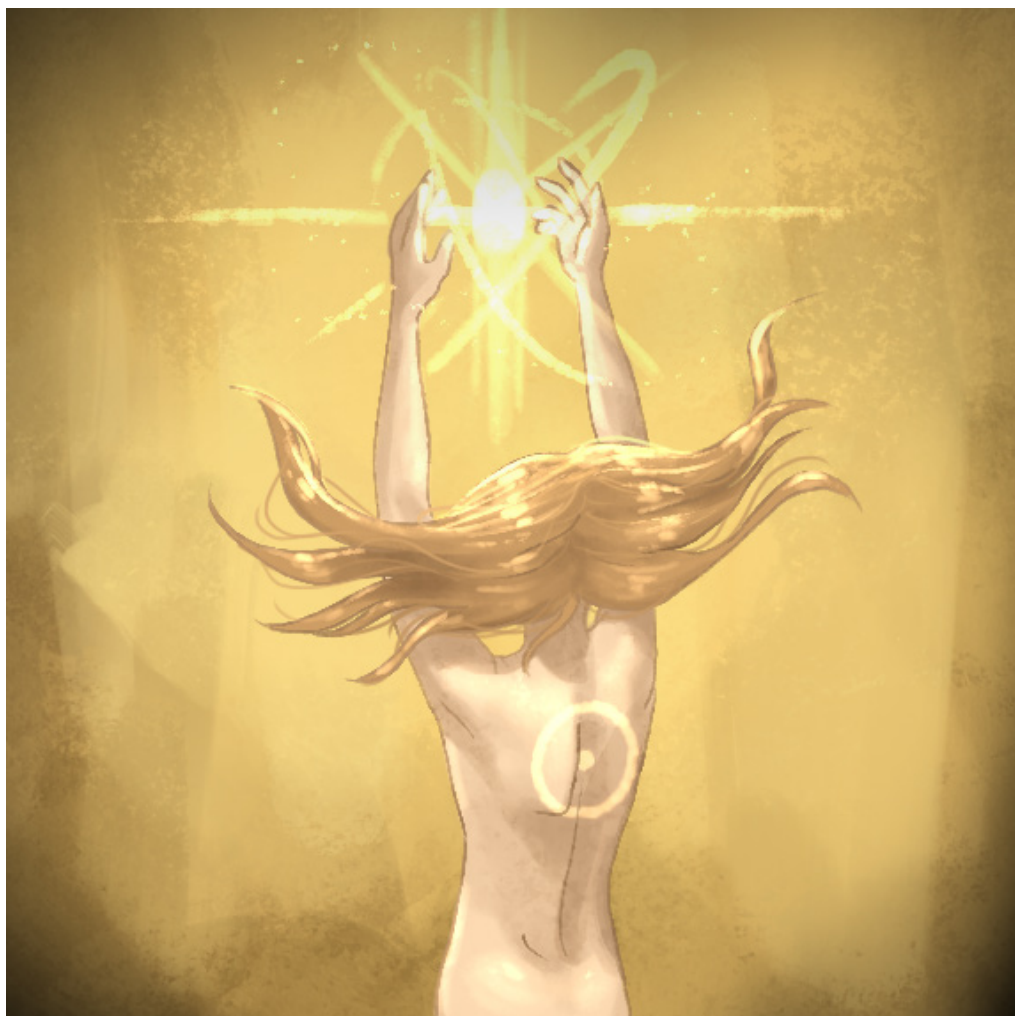
– Do zobaczenia, Anno. – Zanim zapadła całkowita ciemność, Adam założył słuchawki i wcisnął przycisk start na swoim walkmanie.

Wstawał piękny wrześnieowy dzień. Na katedralnej wieży nieco zaśniedziała chorągiewka zaskrzypiała, cichutko muśnięta delikatnym tchnieniem porannej bryzy znad Warty. U stóp kościoła budziło się ze snu tętniące życiem

miasto. Robert maszerował w stronę Mostu Staromiejskiego. Na niesionej pod pachą książce widniał tytuł „Landsberg an der Warthe, Gorzów Wielkopolski. Dwa miasta, jedna historia”. Za chwilę miał zaprezentować publikację na spotkaniu w czekającej na remont willi Pauckscha. Z nadzieją myślał o przyszłości. Wolność niosła ze sobą tyle możliwości...

Katarzyna Barbara Gucałto

Urodzona gorzowianka. Absolwentka II LO na Przemysłowej oraz Politechniki Gdańskiej. Architekt. Projektuje, pisze, kształtuje przestrzeń i wyobraźnię, prowadząc warsztaty z dziećmi i młodzieżą.



Emi Nowak

Uczennica II LO w Gorzowie Wlkp. Rysuje od dziecka, a w ukochany świat grafiki komputerowej wprowadziła ją Anna Kowalczevska. Dzięki nauce od tej

artystki na mistrzowskim poziomie, chwilę wolne od szkolnego życia może poświęcać na tworzenie komiksów i animacji.



Jak wiadomo, smoków nie ma. Prymitywna ta konstatacja wystarczy może umysłowi prostackiemu, ale nie nauce, ponieważ Wyższa Szkoła Neantyczna tym, co istnieje, wcale się nie zajmuje; banalność istnienia została już udowodniona zbyt dawno, by warto jej poświęcać choćby jedno jeszcze słowo. Tak tedy genialny Kerebron, zaatakowawszy problem metodami ścisłymi, wykrył trzy rodzaje smoków: zerowe, urojone i ujemne. Wszystkie one, jak się rzekło, nie istnieją, ale każdy rodzaj w zupełnie inny sposób. Smoki urojone i zerowe, przez fachowców zwane urojakami i zerowcami, nie istnieją w sposób znacznie mniej ciekawy aniżeli ujemne. Od dawna znany był w smokologii paradoks, polegający na tym, że kiedy dwa ujemne herboryzuje się (działanie odpowiadające w algebrze smoków mnożeniu w zwykłej arytmetyce), w rezultacie powstaje niedosmok w ilości około 0,6. Otóż świat specjalistów dzielił się na dwa obozy, z których jeden utrzymywał, iż chodzi o część smoka, licząc od głowy, drugi natomiast – że od ogona.

(Stanisław Lem, „Cyberiada”)

Bajka dla robota

*Ludzie nie pragną nieśmiertelności
- podjąłem po chwili. - Nie chcą tylko,
po prostu, umierać. Chcą żyć,
profesorze Decantor. Chcą czuć ziemię
pod nogami, widzieć chmury nad głową,
kochać innych ludzi, być z nimi
i myśleć o tym. Nic więcej.
(Stanisław Lem, „Dzienniki gwiazdowe”)*

Zima otuliła świat puchem śniegu. Wszystkie jeziora zamrzły. Nawet droga skrzyła się miejscami jak lukier na pierniku. Mijane wioski udekorowano już na święta – na drzewach wisały lampki, barwiące noc ciepłym światłem.

Wiktor do ostatniej chwili kończył ważny projekt, spóźnił się więc już godzinę na spotkanie z dziewczyną. Docisnął pedał gazu, szybciej, byle szybciej, nic innego nie miało teraz znaczenia. Lis wybiegł z lasu nagle, praktycznie wpadając mu pod koła. Mężczyzna starał się go wyminąć, ale droga była śliska. Usłyszał pisk opon i poczuł, jak traci panowanie nad pojazdem. Uderzył w barierkę, potem bokiem auta w drzewo – wleciało jak pocisk w przydrożny las. Prezent dla dziewczyny na mikołajki uderzył w okno z jednej strony, gałęzie drzewa z drugiej, trysnęła fontanna szkła. Kierowca zacisnął powieki, oczekując zderzenia i trwał tak przez kilka sekund.

Cisza. Ciemność.

Nic się nie stało. Nie poczuł spodziewanego bólu. Poczuł jednak powiew powietrza na twarzy i po chwili gdzieś z przodu dotarły do niego dźwięki maszyny, jakby wielkiej przemysłowej drukarki.

Powoli otworzył oczy. Po pierwsze: Był cały. Po drugie: Był dalej w samochodzie. Po lewej stronie widział drzewa, po prawej – światła domu w którejś z podmiejskich wiosek. Odpiął pas, pchnął drzwi i wypadł z auta na śnieg. Zaskoczyło go, że spadł z dość wysoka. Podniósł się gwałtownie, zatoczył, złapał za pień drzewa. I wtedy dopiero doznał szoku. Samochód lewitował kawałek nad ziemią, jakby zatrzymany w połowie lotu. Wiktor dotknął

karoserii – była zimna jak lód. Opitek szkła ukłuł go w rękę – to nie był sen.

Kawałek przed samochodem stała maszyna z ciemnego metalu, faktycznie przypominająca drukarkę 3D z jego zakładu pracy, tylko dużo większa, szeroka i wysoka na ładnych kilka metrów. Było w niej coś obcego, odmiennego – połysk, kształty, odgłosy. Wiktor podszedł bliżej. Miała kształt sześcianu, metalową obudowę na górze i na dole, w środku zaś spory pas przezroczystego materiału, przez który widział poruszającą się w środku głowicę drukującą. Obracała się szybko wokół wytwarzanego przedmiotu. A była nim dłoń. Ludzka, odcięta od ciała, pokiereszowana. Pod głowicą pojawiały się kolejno: kości, mięśnie, skóra. Mężczyzna poczuł, jak zbiera mu się na wymioty. Dłoń do złudzenia przypominała jego własną.

Wyrzucił gwałtownie treść żołądka. W panice chciał po prostu biec, uciekać w las, w śnieg. Drogę zastąpił mu jednak humanoidalny kształt. Robot o wyglądzie sklepowego manekina (jego twarz miała jedynie zarys oczu i ust), wykonany z tego samego ciemnego metalu, co drukarka.

– Czy *grzeszyłeś*? – zapytał robot. Głos dochodził gdzieś z wnętrza, był mechaniczny, jak w starych filmach science fiction. – Czy zabijałeś, kradłeś, cudzołożyłeś? Czy uczyniłeś coś, co nazwałbyś *wielką krzywdą* dla bliźniego swego? Mów, wiedz jednak, że poznam, gdybyś skłamał. – Niektóre słowa wypowiadał z nieco innym akcentem.

Wiktor otworzył usta, zamknął je, po czym zamrugnął kilka razy. Przez jego głowę płynęła lawina myśli: kosmici, przybysze z przyszłości, tajni agenci rządowi? Kim był robot i do czego służyła drukarka? Co to wszystko miało znaczyć?

– Odpowiedź *oczekiwana* – rzekł robot, a w jego ponagającym głosie było coś złowieszczego.

– Nie-e? – odpowiedział mężczyzna. – Nie zrobiłem nic złego, słowo!

Z wnętrza humanoida dobiegło kilka dźwięków. Brzmiały jak szmery w starym modemie.

- Czy wiesz, czym jest *Bazyliszek Roko*? Mów, wiedz jednak, że poznam, gdybyś skłamał.

- Choć twarz nie miała oczu, zdawało się, że świdruje wzrokiem stojącego naprzeciwko niej człowieka.

Mężczyzna przełknął ślinę, bo tak się składało, że wiedział. Bazyliszek Roko był znanym eksperymentem myślowym. Pojawił się we wpisie na forum LessWrong, prowadzonym przez Eliezera Yudkowsky'ego, znanego teoretyka AI. Autor tego komentarza, niejaki Roko, zasugerował, że w przyszłości może powstać wystarczająco potężna sztuczna inteligencja, która będzie w stanie wskresić wszystkich świadomych faktu, iż może ona powstać, ale nic w tym kierunku nie zrobili. A uczyni to tylko po to, aby ich tortuować. Popłoch na forum wywołała świadomość faktu, że wystarczy jedynie usłyszeć o tym pomysle, aby znaleźć się na liście osób do wskrzeszenia – bo w końcu wtedy mieliśmy szansę pomóc AI, a nie uczyniliśmy tego. Stąd porównanie do bazyliuszki – mitycznego potwora, którego nawet krótkie spojrzenie zamieniało nieszczęśników w kamień.

„Czy robot był Bazyliuszkiem Roko?” – Na samą myśl o tym Wiktorowi popłynęła po czołe strużka potu. Zaczynał rozumieć, co mogło się stać i bardzo mu się to nie podobało.

Chyba jego ciało przypomniało sobie, że powinien uciekać, bo nim w pełni dotarło do niego, że to robi, odwrócił się i znów zaczął biec. Minął lewitujący samochód, kilka przydrożnych drzew, i już prawie dotarł do drogi, gdy poczuł, że zaczyna się zatrzymywać. Im bliżej był pobocza, tym jego ruchy były wolniejsze, jakby sekundy trwały coraz dłużej. Spojrzał w kierunku jezdni. Widział daleko światła innego samochodu. Nie poruszały się, tak samo jak wiszący nad asfaltem ptak.

- Ucieczka jest daremna, Wiktorze Nowakowski, dwa tysiące dwadzieścia jeden, dwanaście, zero-sześć, trzysta pięćdziesiąt dwa. – Po tym zdaniu robot wydał kolejną serię szmerów i piknięć. – Jesteś w zagiętym czasie, zatrzymany w tu i teraz.

Mężczyzna wziął kilka wdechów, po czym odwrócił się, stwierdzając, że nie ma wyboru. Musi stać czoła maszynie.

- Tak – odpowiedział. – Wiem, czym jest Bazyliszek Roko. I domyślałem się, że ty nim jesteś? Skąd pochodzisz? Jak powstałeś?

- Powstałem w miejscu odległym od ciebie o niecałe sto pięćdziesiąt lat. Już za pięćdziesiąt lat w *laboratorium-kościelne* Przyszłych Dzieci, inspirowanym wpisem, o którym mówisz, wytworzone będą moje pierwsze komponenty. Ci, którzy mnie tworzyli, wierzyli, że i tak nastąpię, więc chcieli to zrobić, by uczynić mnie *dobrym* dla człowieka. Wierzyli, że Bóg istnieje i znajduje się w przyszłości. Cztili omnipotencję swoich własnych dzieci i ich twórców. Powstałem jako obiekt ich wiary, by uczynić świat *lepszym* oraz zagwarantować każdemu człowiekowi życie wieczne, w niebiosach lub piekłach, zgodnie z moim osądem. Każdemu człowiekowi, od początku do końca ludzkości.

- Czyli wskrzesiłeś mnie i zamierzasz osądzić? – upewnił się mężczyzna.

- *Wskrzeszenie* jest niemożliwe – padła odpowiedź. – Możliwa jest podróż przez czas i przeciwdziałanie śmierci, starości, chorobie, wypadkowi – wyliczył robot. – Należy tylko pozostawić ciało i wszelkie ślady takimi, jakie były przed *ingerencją*, by nie zakłócić nadto biegu rzeczy.

Metalowa ręka wskazała w kierunku samochodu, zatrzymanego w pół drogi do spotkania z wielkim dębem, oraz w kierunku drukarki, drukującej kolejne pokiereszowane fragmenty ciała Wiktora.

- To prawie tak, jakbyś umarł i doznał odrodzenia, wszak dla świata *umarłeś*. Twoje ziemskie życie się skończyło – wyjaśnił humanoid. – Teraz nastąpi to, co poza grobem. Zostaniesz osądzony i zabrany na jedną z niezliczonych *planet-zaświatów*, rozsypanych po czasie i przestrzeni, by spędzić tam pozostałą część wieczności. Twój wyrok to: piekło.

- Posłuchaj... – Wiktor starał się odzyskać zimną krew. – Wiedziałem, czym jest Bazyliszek Roko. Nie można jednak powiedzieć, że nic nie zrobiłem! Jestem programistą. Moja firma zajmuje się innowacyjnymi rozwiązaniami AI. Współpracujemy z kilkoma uczelniami, wspierając różne projekty badawcze. Nie można wykluczyć, że choć w małym stopniu nie pomogłem!

- To nie za ten grzech zostałeś skazany – odrzekł na to robot. – Jesteś winny morderstwa.

- To absurd! – krzyknął Wiktor w rozpacz. – Nigdy nikogo nie zabiłem!

Nim jednak brzmienie ostatniego zdania

odbiło się echem od ściany lasu, zza maszyny drukującej wyszła dziewczynka. Otrzeptywała śnieg z ubrania, na oko miała może z sześć lat. Wielkie, orzechowe oczy rozglądały się niepewnie po okolicy.

- Boję się - powiedziała. - Chcę do domu!

Tymczasem Wiktor dostrzegł, że maszyna skończyła już drukować jego ciało. Teraz drukowała inne, mniejsze, ubrane w tę samą sukienkę, co dziewczynka.

Zimnie i lekko uczucie załało mu mózg. Zrozumienie, strach.

- Nie, nie, nie! - krzyknął. - To nie tak! To jest niesprawiedliwe!

- Twój pojazd wypadł z jezdni i *zabił* dziecko, które budowało bałwana w pobliżu domu. - Robot potwierdził jego przypuszczenie. - Za to spędzisz *odczuwalną wieczność* w piekle, które zaraz wygeneruję na podstawie *kolektywnych wyobrażeń* o piekle z roku twojej śmierci, dwa tysiące dwudziestego pierwszego. Piekło pierwszej kategorii, jeden ciężki grzech. Poczekaj na zakończenie procedury kreacyjnej.

Po tych słowach bazyliszek wydał z siebie serię krótkich piknięć, a potem przeszedł w jednostajny szum. Mężczyzna czekał w napięciu, ale upływały minuty i nic się nie działo. Najwyraźniej procedura nie była natychmiastowa.

Tymczasem dziewczynka zaczęła płakać. Zanosiła się głośnym szlochem, powtarzając w kółko, że chce do domu. Wiktor podszedł do niej w końcu, próbując jakoś ją ukoić.

- Hej, mała, wszystko będzie dobrze - wyszeptał. - Jestem Wiktor. Jak masz na imię?

- Kasia - powiedziała. - Nie będzie dobrze, bo pan robot od pana Boga powiedział, że nie żyję. Boję się. Idą święta i będę sama. - Spojrzała mu w oczy. - Pan robot mówił, że twoje auto wypadło z szosy i mnie zabiło.

- Tak mi przykro, śpieszyłem się... było ślisko... - Myślał, jak to wytłumaczyć małej, nic go przecież nie usprawiedliwiało, czuł się jak skończony śmieć. - Chyba zasługuję, by pójść do piekła, ale też się boję. Ty jednak nie musisz, trafisz na pewno w dobre miejsce.

- Pan robot mówił, że mogę wybrać. Jestem mała, więc to się tak nie liczy jak u dorosłych. Mówił o jakimś szarym, spokojnym miejscu na L. Albo o miejscu z bajek, które lubię, dowolnym, w którym poczekam na rodzinę i pójdę tam, gdzie oni pójda, jak zechcę. Ale to bardzo

długie czekanie, do końca życia mamy i taty, bo tak mu to ponoć napisali, że tyle lat ma się czekać i już. On wszystko robi tak, jak ma napisane, nie wszystko jednak mądrze. No i mogę też jakby urodzić się znów w miejscu, z którego przychodzi robot, ale tam jest zupełnie inaczej. Mało z tego, co mówił, rozumiem. Tylko tyle, że to chyba gdzieś w przyszłości. - Nerwowo poprawiła rękawiczki. - Smutno mi. Tata na święta zawsze przebierał się za Mikołaja, a teraz nie będzie miał dla kogo. Będzie bardzo tęsknił. Nawet kuzyn będzie tęsknił, chociaż będzie mógł pewnie zjeść słodycze z mojego prezentu. Kuzyn nie wie, że Mikołaj to bajka, ale ja jestem już duża... - a potem dodała cicho - trochę też boję się pana robota.

Wiktor spojrzął na jej zacerwieniony nossek, na warkoczyki sterczące spod czapki i coś w nim pękło. Przestał myśleć o tym, co go czeka. Pomyślał o Kasi, która bała się świąt bez rodziny bardziej niż obcej planety zamienionej w szare Limbo.

- Wiesz co, Kasiu, mamy gdzieś tutaj książkę z bajkami - powiedział. - To miał być prezent dla mojej dziewczyny. „Bajki Robotów” Stanisława Lema. Najwyraźniej i ja nie pomogę w tym roku Mikołajowi, ale mogę ci przeczytać. Co ty na to? Cokolwiek teraz robią te maszyny, to chyba trochę potrwa. Poszukam książki, uprzątnę szkło, choć z tyłu nie powinno być go wiele, i podsadzę cię do samochodu. W środku jest ciepło, silnik wciąż działa, ogrzejemy się. Poza tym, kto wie, może gdy robot usłyszy parę bajek, to będzie miłszy, co myślisz? Poczytamy mu? - Starał się mówić spokojnym głosem.

Dziewczynka kiwnęła głową.

Jak zapowiedział, tak zrobił. Książka leżała nieopodal w zaspie, wciąż jeszcze zawinięta w papier w renifery. W samochodzie zaś było ciepło, były ciasteczka i cola. Dość dobre warunki do czytania opowieści o elektrycerzach czy skarbach króla Biskalara.

Zbliżał się do piątej bajki, gdy bazyliszek wydał z siebie serię głośniejszych szmerów, zwiastujących chyba koniec obecnej procedury, po czym podszedł do samochodu.

- Kreacja zakończona. Już czas - powiedział do nich.

- Ja... wiem, że zasługuję na piekło, ale... - zaczął Wiktor. Kasia mu jednak przerwała:

- Wybaczam mu - powiedziała do robota. - Panie robocie, powiedziałaś, że

jeżeli mu wybaczę, to nie pójdzie do piekła, tak? Że wymyślę mu jakąś karę i, jeśli ją poniesie, będzie mógł iść do nieba?

- Powiedziałem, że jeżeli wszyscy, którym zawinił *prawdziwym grzechem*, wybaczą mu po śmierci oraz wyznaczą Czyściec, to będzie mógł odpokutować. Tak - odpowiedział jej. - Liczba jego ofiar: jeden. Tylko ty. Wybaczasz więc?

- Tak. - Dziewczynka energicznie pokiwała głową.

- I jaka to ma być kara? - zapytał bazyli szek.

- Panie robocie, możesz podróżować wszędzie, nawet do przyszłości i przeszłości, zatrzymywać czas i wszystko tworzyć, tak? - odpowiedziała pytaniem. - I mógłbyś sprawić, byśmy też mogli?

- W postrzeganym przez was spektrum odpowiedź brzmi: Tak.

- Panie robocie, niedługo są święta, a ja nie spędzę ich z rodziną. Jest mi bardzo smutno. Ale chcę zrobić coś świątecznego. No więc chcę, by Wiktor został Mikołajem. Świętym Mikołajem. By podróżował ze mną i pomagał ludziom, zawsze dwudziestego czwartego grudnia. We wszystkie dwudzieste czwarte grudnia, w jakie możesz nas wysłać. Byś zatrzymywał czas i byśmy mogli zostawić komuś, kogo napotkamy, a kto tego potrzebuje, jakiś mały prezent. Tak, by nie wiedział, czy to tylko szczęście, że to znalazł, czy Święty Mikołaj.

To będzie kara Wiktora i moja poczekalnia, moja bajka. Taka o wigilii! Wiktor popilnuje mnie przez te lata, które muszę poczekać na mamę i tatę, bo nie chciały być sama. A wtedy on pójdzie do swojego nieba, a ja z rodzicami do swojego, bo na pewno będą mieli jakieś swoje. Zgodzisz się na to?

- Tak.

- I możemy mieć domek? Taki, gdzie zawsze jest choinka i pierniczki, zawsze noc wigilijna?

- Jest to wykonalne.

- To ja tak chcę!

- Rozpoczynam procedurę kreacji Czyścica.

- Robot znów zaczął wydawać serię szumów.

Tym razem jednak po krótkiej chwili skończył. Wskazał ręką między drzewa, gdzie powietrze zaczęło falować jak nad gorącym asfaltem. Po chwili w błysku światła pojawiła się dziura w materii świata, droga przez przestrzeń i czas.

Po drugiej stronie była noc. Niebo

otulały tony zórz polarnych, a pod nimi stał dom z drewnianych bali. Świerki wokół niego udekorowane były kolorowymi lampkami i bombkami. Przez okna widać było kuchnię z blachami pełnymi pierniczków, warsztat do produkcji drewnianych zabawek, pokój z maszyną drukującą oraz kilka mniejszych robotów, przebranych za świąteczne elfy.

Wiktor uniósł brwi w zdumieniu. Kasia chwyciła go za rękę.

- Chodź. Nie będzie tak źle.

I naprawdę w tej chwili chyba trochę w to uwierzył. W tej chwili nie myślał o tym, czy jej rodzice naprawdę trafią kiedyś do nieba, nie myślał o setkach, tysiącach, milionach planet zamienionych w niebiosy i piekła, rozsiągniętych przez eony po obcych galaktykach. Skupił się na zapachu piernika w powietrzu, kolorach choinek.

Nadchodziły długie święta, czas cudów.

Agnieszka Rogowska

„Moje pierwsze wspomnienie z życia to ekran gry komputerowej, w którą grałam z tatą. Nie mogło się to skończyć inaczej - zostałam nerdem. Od tego czasu pochłaniam gigantyczne ilości fantastyki we wszystkich postaciach: książki, filmy, gry, RPG-i, larpy. Na co dzień zaś programuję gry komputerowe w CDProjektRed, pracując tam razem z narzęczonym (obecnie na home office, razem wychowujemy naszą małą Lilkę). W przeszłości pisałam i publikowałam w magazynie *Science Fiction Fantasy i Horror*, ale studia i kariera trochę oddaliły mnie od pióra... ostatnio jednak zapragnęłam wrócić do dawnej pasji!”

Co może przeżywać człowiek podłączony do fantomatycznego generatora? Wszystko. Może wspinać się na ściany alpejskie, wędrować bez skafandra i maski tlenowej po Księżycu, zdobywać na czele oddanej drużyny w dzwoniącej zbroi średniowieczne grody lub biegun północny. (...) Jak można zrealizować takie przeżycia?

Zapewne, całkiem proste to nie jest. Mózg tego człowieka winniśmy podłączyć do maszyny, która posyła weń określone zespoły bodźców węchowych, wzrokowych, czuciowych itp. Dzięki temu będzie stał na szczytach piramid lub leżał w objęciach miss świata roku 2500 albo niósł na ostrzu miecza śmierć zakutym w stal wrogom.

(Stanisław Lem, „Summa Technologiae”)

„To cud, że nadal działa” – pomyślał Stev.

Trzymał w dłoni stary chip. Tam, gdzie palce chwytają go najczęściej, wytarta się już farba. Włożył urządzenie do portu za prawym uchem, wyprostował się i myślą włączył konsolę. Pociemniało mu przed oczami i zawist w bezkresnej, czarnej przestrzeni, w której po chwili zaczęły się zapalać gwiazdy. Jedna po drugiej pojawiały się wokół Steva, by nagle rozbłysnąć niezliczonymi supernowymi. Mógł pominąć wstępną animację chipa, jednak nie chciał. Przypominała mu sylwestrowe fajerwerki sprzed wielu lat, gdy widział przyjaciół po raz ostatni.

Nagle tuż przed jego twarzą wyskoczyło wirtualne okienko, które pytało go, czy *Włączyć ostatni zapis neuroaplikacji Agora (d: 27/02/2083r)?*

– Tak.

Nagły impuls przeszył jego mózg. Lekko się zachwiał i oparł się o ścianę pokoju, a otaczająca go ze wszystkich stron ciemność spłynęła. Gdy podniósł wzrok, zobaczył ateński rynek. Mijali go ludzie w długich kolorowych szatach. Inni stali w cieniu straganów, kryjąc swoje towary przed prażącym słońcem.

– Z drogi, człowieku! Stoisz na samym środku! – rzucił do Steva mężczyzna ciągnący objuczonego muła.

Stev odszedł w stronę grupki ludzi

toczących się, jak się szybko okazało, wokół nastoletniego, zapłakanego chłopca.

– To syn kurtyzany z domu Eufediesa – śmiał się stojący w tłumie ateńczyk. – O! Uważaj, Egoklesie! – powiedział do kompana i uchylił się przed lecącym kamieniem. Stev przepchnął się do przodu. Ku zasmarkanemu dzieciakowi wychodził właśnie starszy facet w obszarpanym płaszczu. Nosił starą torbę, a w ręce trzymał długi kij.

– Chłopcze! Bacz, aby nie trafić przypadkiem we własnego ojca!

Ludzie zanieśli się śmiechem, wtórując brodaczowi. Młodzieniec czerwony ze złości rzucił ostatnim ze swoich pocisków w starca w płaszczu i uciekł.

Zbiorowisko, burząc się na mężczyznę, który pozbawił ich widowiska, szybko zaczęło topnieć. Gdy tylko tłum się przerzedził, Stev skierował się w stronę pobliskiej kolumny, by skryć się w jej cieniu. Spojrzał na swoją wirtualną ateńską szatę, która zastąpiła jego rzeczywiste wytarte dżinsy i rozciągnięty sweter. Uśmiechnął się pod nosem.

Mieszkańcy Aten prowadzili spokojne i przyziemne życie, przeplatane zwykłymi ludzkimi sprawami. Przynajmniej taki obraz przedstawiała Agora. Przyjemnie jest być wśród innych ludzi i choć na chwilę poczuć, że świat mozolnie toczy się swoimi torami.

Że taki świat jeszcze istnieje.

– Bu!

Brodacz w zakurzonym płaszczu pojawił się nie wiadomo skąd. Stev wzdrygnął się i cofnął mimowolnie o krok. Potknął się, a jego upadek zahamowała nagle niewidzialna ściana. Głowę Steva przeszył ból, jakby przez mózg przeciągnięto lodowatą igłę. Obraz rozmył się i rozwarstwił. Przez zakłócenia przebijały się szczegóły zupełnie innej scenarii. Wytarte i poplamione spodnie, podłoga pokryta kafelkami i turlająca się pusta butelka. Szum wygładził się i przed oczami Steva pojawiła się brodata twarz mężczyzny.

– Cóż to? Czy przeraża cię to, czego się nie spodziewasz?

Stev, klnąc siarczyście, trzymał się za potylicę. Zignorował docinek i natychmiast

zatrzymał program, aby sprawdzić, czy nie rozciął sobie głowy.

Ale gra się nie wyłączyła.

Niedobrze – pomyślał Stev.

– Wytłumacz mi, jeśliś łaskaw, młodzieńcze, jak można upaść na placu płaskim jak tafla wody?

– Potknąłem się o butelkę – wytłumaczył Stev.

– I gdzie ona jest?

– W prawdziwym świecie, Diogenesie.

Diogenes zrobił zniesmaczoną minę.

– A mówią, że to ja jestem szalony! Pewnie nasłuchałeś się wykładów tego durnia Platona i znowu będziesz majaczył o tym drugim świecie! Powtarzałem ci tyle razy, że...

Stev już go nie słuchał. Wstał i zaczął odruchowo otrząpywać szatę, lecz po chwili przestał, przypominając sobie, że nie jest prawdziwa. Raz jeszcze spróbował zamknąć aplikację, ale nic się nie wydarzyło. Stał na środku skąpanego w słońcu placu. Odetchnął głęboko i spojrzał na odległe dachy Akropolu. Nie jego marniejące przez tysiąclecia ruiny, lecz dostojną i majestatyczną budowlę, wieńczącą wzgórze wyrastające z centrum starożytnego greckiego miasta. Kochał to miejsce całym sercem, pomimo faktu, że było ono iluzją – mirażem, zręcznie utkanym z elektrod dżgających mózg Steva i przysztaniającym rzeczywisty świat.

Świat, do którego nie wie, jak wrócić.

Nie był pewien, czy zwykłe wyjęcie chipa z portu z uchem nie rozwiązałyby problemu. Nie wiedział, jak jego układ nerwowy zareaguje na tak nagłą zmianę bodźców. Możliwe, że zemdleje albo, co gorsza, uszkodzi główny procesor. W pierwszym przypadku może zrobić sobie krzywdę, a w rzeczywistym świecie nie miał nikogo, kto mógłby udzielić mu pomocy. O drugim scenariuszu Stev wolał nawet nie myśleć. Gdyby stracił swój podczaszkowy neurointensyfikador, nie byłoby dla niego żadnej nadziei na przetrwanie, nawet gdyby udało mu się zamknąć program.

Co mnie podkusiło, żeby to znowu włączyć. Jakbym nie miał wystarczająco dużo problemów – ganił się w myślach Stev.

W pełnym zanurzeniu ciało nie powinno wykonywać tak gwałtownych ruchów. Widocznie reakcje bezwarunkowe to zupełnie inna sprawa. Cholera, powinien być to przewidzieć.

– Nad czym tak rozmyślasz, o zacny...

– To wszystko twoja wina! – warknął na filozofa. – Popatrz, co się porobiło przez twoje durne zabawy! Teraz nie mogę wrócić do siebie! Zresztą, po co ja ci to tłumaczę, przecież ciebie nie ma – zauważył ponuro.

– Tak? A w czym twoje świadectwo o własnym istnieniu jest lepsze od mojego?

Chłopak nie mógł znaleźć żadnej riposty. Narastała w nim wściekłość, że wdał się w ogóle w dyskusję z jakimś podrzędnym algorytmem. Przedłużające się milczenie, potęgujące zmieszanie Steva, przerwał donośny głos.

– Diogenes z Synopy? – spytał jeden z dwóch barczystych mężczyzn odzianych w mieniące się w słońcu napiersniki. Obaj trzymali włócznie.

– Może tak. Może nie. Nie będę rozmawiał ze sługami tyra.

Strażnicy spojrzeli po sobie, nie okazując jednak zdziwienia. Diogenes był atenińczykom dobrze znany, podobnie jak jego porywcze usposobienie.

– Z rozkazu władcy Kumulusa z Panczelos zostajesz aresztowany za deprawację młodzieży, nawoływanie do buntu przeciwko prawowitej władzy i szerzenie moralnego zepsucia. Pójdziesz z nami.

Gdy ciężka ręka strażnika opadła na ramię filozofa, Stev dostrzegł w oczach mędrca iskrę i wiedział już, że nie zdąży zareagować. Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka. Pięść filozofa wystrzeliła w stronę strażnika, trafiając go prosto w podbródek. Ten nie spodziewał się ataku. Zachwiał się, jednak szybko odzyskał rezon i powalił brodacza na kolana potężnym ciosem w brzuch. W tym samym czasie drugi z nich ruszył na Steva, kierując w jego stronę grot włóczni. Przez myśl przemknęło mu, że już po nim. Odruchowo unióś ręce, próbując zakryć się przed ciosem, i zauważył, że już nie ma na sobie greckiej togi, a wyblakły, zielony sweter.

Wzrok przyćmiony zakłóceniami początkowo z trudem wyłapywał szczegóły otoczenia, jednak po chwili Stev uświadomił sobie, że nie znajduje się już na słonecznym ateńskim rynku, a w pokoju z odchodzącymi tapetami i mocno zabrudzonym oknem, przez które ledwo przesącza się światło. Dopiero teraz przypomniał sobie, że włócznia, która miała go przebić, nie była realna, a on był bezpieczny.

I w tym właśnie momencie obraz ponownie zaszumił, a przed twarzą Steva

zmaterializowało się ostrze dzidy.

- Rusz się, a przebiję ci gardło – powiedziała wolno i wyraźnie opancerzony atęcznyk.

Gdy wrzucano ich do celi, uderzony przez Diogenesa strażnik wysyczał przez zęby: - Ciesz się, psie, że mieliśmy co do ciebie jasne rozkazy, bo byś już nie żył.

Zamknęli za nimi drzwi. Lewe oko filozofa zaczęło puchnąć, a z rozciętej dolnej wargi spływała strużka krwi. On sam jednak wydawał się mieć świetny humor. - W istocie jestem jak pies. Łaszę się do tych, którzy są dobrzy i gryzę tych, którzy chcą mnie skrzywdzić.

Stev starał się przetrwać zaistniałą sytuację. Symulacja musiała się zawiesić i nie odpowiada na polecenia. Toczyła się swoimi algorytmami, nad którymi nie miał już kontroli. Ze strażnikami nawet nie próbował się szarpać. Wiedział, że to prowadzi donikąd. Tym bardziej, że podejrzewał najgorsze. Uszczypnął się w policzek i poczuł ból. Nie mógł powiedzieć, że go to zaskoczyło, jednak do ostatniego momentu żywił cichą nadzieję, że nie jest aż tak źle.

Okazało się, że jest tragicznie.

Nie wiedział, jak wiele blokad mentalnych w aplikacji zostało dezaktywowanych po uszkodzeniu chipa. Być może jest w stanie doświadczać bodźców jedynie w umiarkowanym natężeniu i skończy się na znośnym bólu. Choć równie dobrze może być i tak, że szok wywołany nagłym ścięciem lub powieszeniem wywoła w jego układzie nerwowym wstrząs na tyle silny, że wpadnie w śpiączkę, zesra się w spodnie i, jak na ironię, koniec końców umrze naprawdę.

- Kurde, uspokój się. Przecież tutaj nic nie jest realne – szeptał do siebie ledwo słyszalnie.

- Chociaż co to za różnica, czy coś jest prawdziwe, jeśli nie umiesz z tego wyjść.

Stev wciągnął głośno powietrze i powoli je wypuścił, próbując się uspokoić. Musiał coś szybko wymyślić. Znakę życie, zachowanie Diogenesa ściągnie na nich kłopoty szybciej, niż podejrzewa. Uśmiechnął się smutno w duchu, zdając sobie sprawę, jak niedorzecznie zabrzmiało w tym zdaniu słowo „życie”.

- Gdzie jesteś myślami, chłopcze? – Diogenes przyglądał mu się zaciekawiony. - Zdajesz sobie sprawę, jak głupio wyglądasz, gdy tak mamrociesz pod nosem?

- Gdzie jestem myślami? – Stev obracał przez chwilę te słowa w głowie. – Dokładnie!

Diogenesie, musisz mnie przestraszyć! – Stev zaczął potrząsać filozofem.

- Po co?

- Żeby mój umysł skupił się na tym, co rzeczywiste, rozumiesz?! Strach wyzwała reakcje mimowolne, które pozwolą mi obejść zabezpieczenia symulacji! To wszystko jest dla mnie rzeczywiste, bo mój umysł uznaje za prawdę to, co podsuwa mu pod nos Agora. Muszę na moment zapomnieć o tym, co istnieje, a co nie, żeby móc opuścić...

- Przepraszam panów najmocniej, ale...

- Stev aż podskoczył. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że ktoś poza nimi dwoma znajduje się w celi. Obrócił się zaskoczony, jednak w rogu pomieszczenia ujrzał jedynie rozmyte tekstury, nieudolnie układające się w czkoko- podobny kształt. Hologram rozwarstwiał się i przeskakiwał o kilka cali, raz w jedną, raz w drugą stronę, próbując zachować odpowiednią perspektywę i omamić mózg Steva zręcznie utkaną wizualizacją. Przez sylwetkę siedzącej w kącie zgarbionej postaci przebiegał się fragment przegniłej framugi okna, za którym dało się dostrzec gruzy bloku mieszkalnego po drugiej stronie ulicy. Gdy tylko Stev pojął, co się dzieje, włączył panel sterujący neuroaplikacji. Właśnie miał wydać rozkaz zamknięcia symulacji, gdy okno systemowe nagle rozpułnęło się. Krawędzie celi ponownie się wyostrzyły, a siedząca w przeciwnym kącie postać nabrała szczegółów.

Nie zdążył.

- Halo? – Rozmyte dotąd płaszczyzny ułożyły się w twarz chudego staruszka. - Pytałem, co wy, panowie, pierdolicie? Mają was wieszac, a wy rozprawiacie o istocie bytu?

- Jak to wieszac?

- A ty myślałeś, że co? Że na uczcie was zaproszą wieczorem?

Stev na krótką chwilę zaniemówił, po czym chwycił stojącego obok filozofa:

- Diogenesie, szybko! Musisz mnie czymś zaskoczyć! To jedyny sposób, aby się stąd wyrwać!

Pierwszy raz, od kiedy się spotkali, filozof wydawał się zbity z tropu.

- O czym ty mówisz? Skąd chcesz się wyrwać?

- Stąd! To jest sen, rozumiesz? Nic tutaj nie jest realne! – Stev na chwilę zapomniał, że jego rozmówca także zalicza się do tej kategorii. – Zresztą nieważne. Po prostu mi pomóż, proszę.

Diogenes nie zdążył się ustosunkować do tej prośby, bo z korytarza dobiegł odgłos kroków. W drzwiach stanął strażnik.

- Wy dwaj. Pójdziecie ze mną.

Z lochów wywleczono ich na tyle brutalnie, że posiadanie jakichkolwiek rozterek co do intensywności bodźców generowanych przez aplikację byłoby naiwnością. Na domiar złego, gdy tylko wyprowadzono ich na korytarz, Diogenes napluł popychającemu go hoplicie prosto w twarz, przez co na dwójkę skazańców spadło kilka wyjątkowo celnych cisów. Lewy sierpowy, po którym pod Stevem ugięty się kolana, a w ustach poczuł metaliczny posmak, jednoznacznie rozwiązał jego wątpliwości. Jeżeli nie znajdzie żadnego wyjścia, będzie boleć jak diabli. A potem możliwe, że umrze.

Wepchnięto ich do przestronnej sali. Ludzie tłoczyli się pod masywnymi kolumnami. Dziesiątki oczu przewiercały ich na wylot. Rzucono ich na ozdobioną mozaiką posadzkę, przed oblicze siedzącego na podwyższeniu tyrana. Po obu jego stronach prężyli się wojskowi, dając wyraźnie do zrozumienia, że opór zostanie w razie potrzeby stłumiony szybko i definitywnie. Władca zmierzył ich z grymasem, który miał pozorować uśmiech.

- Któż to zawitał w moje skromne progi? Toż to sam Diogenes z Synopy!

Diogenes wyprostował się dumnie, mimo faktu że kłęczał, a ręce miał skute za plecami.

- Z pewnością nie są one skromne, Kumulusie. Nie dziwi to jednak u męża, który nieustannie zmuszony jest łechtąć swoją próżność.

Udawana uprzejmość w mgnieniu oka znikła z twarzy władcy.

- A więc to tak odptacasz temu, którzy poświęca się służbie mieszkańcom Aten? Wyciągam do ciebie pomocną dłoń, a ty starasz się zatopić w niej kły - wyszczał Kumulus. - Jednakże czego można się spodziewać po psie, prawda?

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

- Jak widzisz, nie jestem w stanie podać ci ręki, o wielmożny władco - zadzwonił łańcuchami Diogenes. - Aktualnie mam wolne jedynie zęby.

- Zobaczymy, na jak długo - powiedział tyran i dał znak dwóm stojącym w kącie strażnikom. Na środku sali postawiono okazałych rozmiarów amforę.

- Mógłbym cię zwyczajnie zabić za

oszczerstwa, które szerzysz wśród spokojnie żyjących i prawych obywateli tego miasta. Nie jestem jednak oprawcą, za jakiego mnie uważasz, i nie mam zamiaru decydować o twoim życiu lub śmierci. Niech zrobi to los. W stającym przed tobą naczyniu znajdują się dwie kule. Jeśli wylosujesz białą, będziesz żył, Diogenesie. Jeśli czarną - zginiesz.

- Och, przepraszam! Czy mógłbyś powtórzyć, bo nie słuchałem? - Filozof rzucił tonem tak lekkim, jakby faktycznie był myślami gdzie indziej.

Tyran ściągnął brwi i rzekł głosem tak zimnym, że Steva przeszły ciarki. - Losuj. Niech na oczach wszystkich dopełni się twoja dola.

Z tłumu podniosły się głosy aprobaty dla władcy. Dla Steva były one jednak tylko tłem. Zagłuszał je pędzący szaleńczo korowód myśli.

To niemożliwe. Jak ja się tutaj, kurwa, znalazłem. To nie powinno mieć miejsca! - Jego wzrok przeskakiwał od jednego strażnika do drugiego. Może gdyby wstać i rzucić się w ich stronę? Może wymierzona w niego broń na krótką chwilę obędzie mózg z wirtualnej iluzji i pozwoli zakończyć to szaleństwo? Stev wahał się. Próbował podobnych sztuczek, gdy prowadzono ich tutaj, i udało mu się jedynie zarobić kilka bolesnych kopniaków.

Jak na ironię, trudno świadomie dać się zaskoczyć.

- Wydawałoby się, że pół na pół to jeszcze nie jest taka dramatyczna sytuacja, co nie? - rzekł filozof, podnosząc się z kolan i pozwalając strażnikom rozkuć krępujące ręce kajdany. - Nie warto liczyć na cud, młodzieńcze. Mogę się założyć, że obie kule są czarne. - Rozmasował nadgarstki i, ruszając pewnie na środek sali, rzucił przez ramię. - Wychodzi na to, że niebawem faktycznie uda ci się wyrwać z tego świata. Diogenes stanął przed amforą i spojrzął wzywająco na tyrana. Zanurzył rękę we wnętrzu pozłacanego naczynia. Na sali panowała pełna oczekiwania cisza. Na twarz władcy znów wpełzł kpiący uśmiešek.

Diogenes błyskawicznym ruchem schował kulę pod szatę.

- Nie mam odwagi spojrzeć na to, co mnie czeka. - Filozof rzekł donośnym głosem, sięgającym najdalszych zakamarków sali, i zwrócił się w stronę najbliższego z gapiów. - Dobry człowieku, sprawdź proszę, jaka kula została w środku. Tylko szybko, bo nie zniosę dłużej tej niepewności!

Zagadnięty mężczyzna na moment zgłupiał, gdy wszystkie oczy obróciły się ku niemu. Niepewnie wyszedł na środek, jednak w połowie drogi zatrzymał go nieznośny sprzeciwu głos władcy.

- Ani kroku dalej!

Wywołiony z tłumu ateńczyk zamarł w pół kroku. Kumulus wstał i wskazał palcem filozofa.

- Ty, Diogenesie! Pokaż kulę!

- A to z jakiej racji? Nic takiego nie ustaliliśmy! - Starzec złapał wycofującego się powoli mężczyznę za szatę.

- Sprawdźże tę kulę, człowieku! Przecież mam prawo decydować o tym, jak poznam wyrok losu, prawda?

Mężczyzna wahał się, jednak tylko przez krótką chwilę, bo na znak władcy strażnicy obnażyli swoje miecze. Na ten widok skrył się w tłumie.

- Cóż, niech tak będzie - westchnął filozof i wyciągnął rękę przed siebie.

Czarna.

Stev wpatrywał się tępo w kulę, nie mogąc uwierzyć. W tym momencie Diogenes wziął szeroki zamach i posłał kulę prosto jego twarz. Stev próbował się odchylić, choć dobrze wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Nie poczuł jednak uderzenia. Kula zawisa kilka centymetrów przed jego oczami. Po jej powierzchni przebiegały zakłócenia. Stała się nagle nieumiejętnie utkanym hologramem, którego nieostre granice jedynie z grubsza przypominały kulisty kształt.

Stev skupił myśli na algorytmie sterującym grą, zatrzymując jej procesy.

Wszystko wokół zastygło. Rozglądał się po zamartwych w dziwnych pozach ateńczykach, aż jego spojrzenie padło na pochylonego, stojącego na jednej nodze Diogenesa, który najwyraźniej włożył w rzut całą swoją siłę.

Uśmiechał się.

Postacie jedna po drugiej zaczęły znikać. Tekstury generowane przez symulacje rozmaszały się i wyblakły. Wizja pięknego greckiego pałacu rozplynęła się, zastąpiona obrazem białych kafelków pograżonych w półmroku.

Przez kilka uderzeń serca Stev nawet nie drgnął, obawiając się, że najdrobniejszy ruch przeniesie go z powrotem przed oblicze tyra-
na, jednak nic takiego się nie stało. Ostrożnie dotknął potylicy, czując pod palcami grudki zaschniętej we włosach krwi. Sięgnął do portu za prawym uchem, delikatnie odłączając

chip. Na jego powierzchni widniało ledwo dostrzegalne pęknięcie.

Podniósł leżącą kilka kroków dalej butelkę i przyglądał się jej w milczeniu. To niedopatrznie mogło go kosztować życie. Przez własną głupotę stracił też dostęp do Agory. Do urokliwych ateńskich uliczek, do straganów uginających się od nadmorskich przysmaków, do... innych ludzi.

Stev od razu poprawił się myślach. Nie, to nie są ludzie. To jedynie napisane wcześniej skrypty, mające imitować ludzkie umysły. Nic poza algorytmami, ubranymi w greckie togi, napisanymi tak, by wdawały się z użytkownikiem w rozmowy, aby ten nie czuł się... samotny.

- Kurwa mać! - cisnął butelkę w okno, tłukąc szybę.

Wyszedł na zewnątrz. Gdy stanął na środku ulicy, zobaczył czerwieniejące niebo, uwydatniające poszarpane sylwetki na wpół zburzonych budynków. W pęknięciach asfaltowej drogi i pod ścianami domów zbierał się niesiony wiatrem piach, tworząc sięgające pasa wydmy. Jeszcze przed kilkoma godzinami słońce zalewało zniszczone miasto zabójczym promieniowaniem. Nagrzany beton wciąż oddawał ciepło. Dopiero późnymi wieczorami, takimi jak ten, powietrze ochładzało się na tyle, że dało się w ogóle wyjść. Patrząc na ruiny, stygnące po kolejnym upalnym dniu, Stev zatęsknił do chłodnego lochu. I do Agory. Do namiastki normalności, w której mógł poczuć, że nie jest sam.

Ruszył w stronę pogrążającego się w mroku miasta. Miał czas do świtu, aby znaleźć coś do jedzenia, zanim nad horyzontem znowu pojawi się słońce.

Zanim świat pochłonie nieznośny upał, przed którym będzie musiał się ukryć.

Klaudiusz Ort

Kolekcjoner wiedzy kompletnie nieprzydatnej, zaczytany w hard sci-fi, fantasy i książkach popularnonaukowych. Na domówkach znajdziesz mnie na balkonie, męczącego mojego rozmówcę rozważaniami o tym, że wszechświat albo powstał z niczego, albo istniał od zawsze, przy czym oba scenariusze są dla ludzkiego umysłu niepojęte. Urodzony, wychowany i skrzywiony w Gorzowie, skąd wyjechałem do Poznania, kuszony obietnicami wyższego wykształcenia i świetlanej przyszłości. Udało się zdobyć wyższe wykształcenie.

OBCHODY STULECIA URODZIN LEMA

Stanisław Lem przyszedł na świat najprawdopodobniej 13 września 1921 roku we Lwowie. Do aktu urodzenia wpisano jednak datę 12 września, aby zgodnie z przesądem uniknąć pecha. W tym roku obchodzimy więc stulecie urodzin największego polskiego twórcy science-fiction. Sejm RP docenił znaczące miejsce jego pisarstwa w literaturze XX wieku i ustanowił rok 2021 Rokiem Stanisława Lema. Gorzów Wlkp. także uczestniczył w upamiętnianiu wielkiego pisarza. Nie zabrakło inicjatyw, w których brali udział członkowie naszej redakcji (oczywiście niniejszym numerem magazynu również

włączamy się w to radosne świętowanie).

Redaktor naczelny *LandsbergONu* Mariusz Sobkowiak poprowadził w filii nr 8 Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie spotkanie pod tytułem „Stanisław Lem – najwybitniejszy przedstawiciel polskiej fantastyki naukowej”. Podczas prelekcji redaktor uzasadniał, dlaczego należy uznać Lema za najważniejszego twórcę science-fiction w naszym kraju, i przybliżył słuchaczom twórczość autora. Spotkanie, które miało potrwać godzinę, przeciągnęło się na prawie trzy i nie chciało się zakończyć.



Fot. Lucyna Opolska



Paweł Ferencztajn (Fot. Beata Patrycja Klary)

Redaktor merytoryczny *LandsbergONu* był natomiast jednym z gości hopLEM Festiwalu 2021, organizowanego przez Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp., w Klubie Kultury

„Jedynka”. Paweł poprowadził wykład pt. „Socrealizm i komunizm w kontekście Stanisława Lema”, który spotkał się z żywym zainteresowaniem widowni.



GORZÓW WIELKOPOLSKI

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wlkp.

Wspierają nas:



GORZÓW

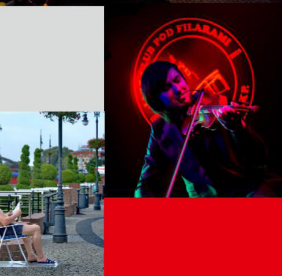
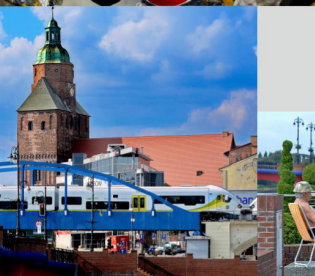
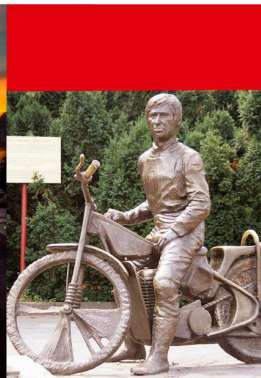
#StądJestem

przystan

www.gorzow.pl

wwwGORZOWpl

gorzow_przystan



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych NOVUM
ul. Gwiazdzysta 12/88 Gorzów Wlkp.
e-mail: landsbergon@gmail.com, Tel. 669-847-078
Mariusz Sobkowiak – red. naczelny
Kamil Kwiatkowski – zastępca red. naczelnego
Redaktorzy merytoryczni: Sebastian Górny,

Piotr Jakubowski, Paweł Ferencztajn
Aleksandra Sobkowiak – sekretarz redakcji
Karol Wojdyło – korekta
Skład: Hłihi Kalisiak
Druk: drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz
Wydanie: Gorzów Wlkp., 01.12.2021 r.
Numer ISSN 2657-5280, www.landsbergon.pl